



Piekna
KATASTROFA

JAMIE MCGUIRE

Rozdział pierwszy

Pierwsze ostrzeżenie

Wszystko wokół zdawało się krzyczeć, że to nie jest miejsce dla mnie. Rozchwiane schody, zgraja wrzaskliwych mężczyzn o wyglądzie chuliganów, smród potu, krwi i pleśni. Chór niewyraźnych głosów wykrzykiwał liczby i nazwiska, ludzie wymachiwali rękami, przekazując sobie nawzajem pieniądze i komunikując się na migi pośród zgiełku. Przecisnęłam się przez tłum, uczepona swojej najlepszej przyjaciółki.

— Uważaj na portfel, Abby! — zawołała do mnie America. W półmroku jej uśmiechnięta twarz jaśniała.

— Trzymajcie się blisko mnie! Kiedy zaczną, zrobi się naprawdę gorąco! — Shepley starał się przekrzyczeć hałas.

America chwyciła za rękę jego i mnie, po czym Shepley poprowadził nas przez morze ludzi.

Zadymione powietrze przeszył nagły ryk megafonu. Wystraszona, aż podskoczyłam i rozejrzałam się. Na drewnianym krześle stał mężczyzna; w jednej ręce trzymał plik banknotów, w drugiej megafon. Przyłożył go do ust.

— Witajcie! Za chwilę odbędzie się tu krwawa jatka! Jeśli

interesuje was kurs z ekonomii, to trafiliście pod niewłaściwy adres! Jeśli szukacie Kręgu, to odnaleźliście Mekkę! Mam na imię Adam. To ja ustalam zasady i wywołuję zawodników. Obstawianie kończy się, kiedy przeciwnicy stają do walki. Nie wolno ich dotykać, pomagać im, nie wolno zmieniać zakładów i wbiegać na ring. Kto złamie zasady, dostaje wpierdol i wypieprza stąd bez pieniędzy! Także wy, drogie panie! Chłopcy, nie namawiajcie swoich laseczek do żadnych przekrętów!

Shepley pokręcił głową.

— Jezu, Adam! — zawołał, najwidoczniej zniesmaczony słownictwem kolegi.

Serce mi waliło. W różowym swetrze z kaszmiru i kolczykach z perłami czułam się jak belferka na plażach Normandii. Obiecałam Mare — tak zdrabnialiśmy imię America — że cokolwiek się stanie, dzielnie to zniosę, ale teraz, na poziomie zero, miałam ochotę obiema rękami wczepić się w jej chude ramię. Oczywiście nie narażałaby mnie na niebezpieczeństwo, jednak gdy znalazłam się w piwnicy w towarzystwie pięćdziesięciu paru podpitych studentów żadnych krwi i pieniędzy, nie byłam pewna, czy wyjdziemy z tego cało.

Odkąd America poznała Shepleya na kursie wprowadzającym dla studentów pierwszego roku, często towarzyszyła mu na tych imprezach organizowanych potajemnie w podziemiach Uniwersytetu Eastern. Każda odbywała się w innej piwnicy, a gdzie dokładnie, zdradzano dopiero godzinę przed walką.

Jako że na co dzień obracałam się w gronie nieco grzeczniejszych studentów, zaskoczyło mnie istnienie tego podziemnego świata, ale Shepley wiedział o nim, zanim jeszcze zapisał

się na studia. Travis, jego kuzyn i współlokator, stoczył swoją pierwszą walkę siedem miesięcy wcześniej. Już na pierwszym roku zyskał sławę najbardziej niebezpiecznego zawodnika, jakiego Adam oglądał w ciągu ostatnich trzech lat, odkąd stworzył tak zwany Krąg. Na początku drugiego roku Travis był niepokonany. Z wygranych on i Shepley bez trudu opłacali czynsz i inne rachunki.

Adam znów przytknął megafon do ust. Podniósł się nieopisany wrzask.

— Dziś wieczorem wystąpi nowy zawodnik! Gwiazda reprezentacji Uniwersytetu Eastern, zapaśnik Marek Young!

Głośno wiwatując, tłum rozstał się niczym Morze Czerwone. Marek wkroczył do sali.

Wokół niego utworzył się krąg. Publiczność gwizdała, buczała, szydziła z zapaśnika. Young podskakiwał i potrząsał głową, poważny i skupiony. Wrzawa, cichnąc stopniowo, przeszła w jednostajny pomruk. Kiedy z potężnych głośników w drugim końcu sali buchnęła muzyka, zasłoniłam dłońmi uszy.

— Drugiego z zawodników nie muszę przedstawiać, ale to zrobię, bo przeraża mnie jak cholera! Drżycie, panowie, panie, żarty się skończyły! Przed wami: Travis „Wściekły Pies” Maddox!

Znów podniósł się ogłuszający wrzask. Travis stanął w drzwiach. Wiedział, jak zrobić efektowne wejście — z nagim torsem, zrelaksowany, swobodny, wkroczył wolnym krokiem do kręgu, jakby zwyczajnie przyszedł do pracy. Smukłe mięśnie rozciągnęły się pod wytatuowaną skórą, gdy stuknął pięściami w knykcie Marka. Nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Zapaśnik starał się zachować groźną minę. Stanęli, patrząc

sobie prosto w oczy. Twarz Marka miała morderczy wyraz, podczas gdy Travis wydawał się lekko rozbawiony.

Gdy cofnęli się o parę kroków, Adam zadał w tubę megafonu. Marek przyjął postawę obronną, Travis zaatakował. Kiedy zasłonił ich tłum, stanęłam na palcach, przechylając się na boki, żeby lepiej widzieć. Pomalutku prześlizgiwałam się przez rozkrzyczaną zgraję. Ktoś dźgał mnie łokciem, ktoś inny potracił ramieniem; odbijałam się od nich jak kulka we flipperze. Udało mi się dostrzec czubki głów zawodników, więc dalej przeciskałam się przez tłum.

W końcu przepchnęłam się na sam przód. Marek pochwycił Trávisa grubymi ramionami i próbował obalić go na ziemię. Kiedy się nad nim nachylił, ten rąbnął go w twarz kolaniem. Zanim Marek zdołał odparować cios, Travis natarł na niego, okładając pięściami.

W moim ramieniu ktoś zatopił pięć palców. Obróciłam się gwałtownie.

— Abby, co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? — spytał Shepley.

— Z tyłu nic nie widziałam! — odkrzyknęłam.

Marek wymierzył potężny cios. Travis zakręcił się na pięcie. Przez chwilę myślałam, że się uchyla, ale gdy wykonał pełny obrót, uderzył przeciwnika łokciem prosto w nos. Krew obryzgała mi twarz i sweterek. Marek upadł ciężko na betonową podłogę i na moment zaległa kompletna cisza.

Adam przykrył bezwładne ciało kawałkiem szkarłatnego materiału i w tej samej chwili tłum eksplodował. Pieniądze znów wędrowały z rąk do rąk wśród okrzyków triumfu i pomruków frustracji.

Ludzie napierali na mnie ze wszystkich stron. Gdzieś z drugiego końca sali usłyszałam głos Mare. Wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w smużkę czerwieni znaczącą przód mojego swetra.

Potem moją uwagę przykuł widok ciężkich czarnych butów na podłodze. Powędrowałam wzrokiem ku górze. Poplamione krwią dzinsy, pięknie wyrzeźbione mięśnie brzucha, nagi, spocony tors pokryty tatuażami, wreszcie ciepłe brązowe oczy. Ktoś potrącił mnie od tyłu, ale Travis złapał mnie za ramię, zanim upadłam na twarz.

— Hej! Odsuń się od niej! — zawołał i zaczął odpychać każdego, kto się do mnie zbliżył. Na widok mojego swetra jego surową minę zastąpił uśmiech. Delikatnie przetarł mi twarz ręcznikiem. — Wybacz, Gołąbku.

Adam poklepał go po głowie.

— Chodź, Wściekły Psie. Czeka na ciebie niezły szmal.

Travis wciąż mi się przyglądał.

— Cholera, szkoda tego sweterka. Ładnie ci w nim. — Już po chwili porwał go tłum fanów i zniknął równie nagle, jak się pojawił.

— Coś ty sobie myślała, idiotko?! — wrzasnęła America, szarpiąc mnie za ramię.

— W końcu przyszłam tu po to, żeby obejrzeć walkę — odparłam z uśmiechem.

— W ogóle nie powinno cię tu być — burknął Shepley.

— A America? — spytałam niewinnie.

— Przynajmniej nie pcha się na ring! — Zmarszczył czoło. — Chodźmy stąd.

America uśmiechnęła się do mnie i otarła mi twarz.

— Abby? Jesteś nie do wytrzymania. Boże, uwielbiam cię!
Objęła mnie i razem weszliśmy po schodach na górę.

W pokoju w akademiku zastałyśmy moją współlokatorkę Karę. America posłała jej szyderczy uśmiech, a ja od razu zdjęłam zakrwawiony sweterek i wrzuciłam go do kosza na brudną bieliznę.

— Obrzydlistwo. — Kara się skrzywiła. — Gdzieś ty była?
Spojrzałam na Mare; wzruszyła ramionami.

— Krwotok z nosa. Abby z nich słynie.

Kara poprawiła okulary, kręcąc głową.

— Jeszcze nieraz to zobaczysz. — America puściła do mnie oko, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Nie minęła nawet minuta, gdy zabrzęczała komórka. Jak zwykle moja przyjaciółka wysłała mi wiadomość chwilę po tym, jak się rozstałyśmy: *zostaję na noc u shepa do zo jutro królowo ringu*.

Zerknęłam na Karę, która najwyraźniej spodziewała się, że za chwilę dostanę kolejnego krwotoku.

— Żartowała — uspokoiliam ją.

Obojętnie pokiwała głową, po czym wróciła do sterty książek na łóżku.

— Wezmę prysznic — oznajmiłam, sięgając po ręcznik i kosmetyczkę.

— Powiadomię media — mruknęła Kara z kamienną twarzą, nie podnosząc wzroku.



Następnego dnia America i Shepley postanowili zjeść ze mną lunch. Nie miałam ochoty na towarzystwo, ale z każdą minutą stołówka wypełniała się znajomymi Shepa i członkami

drużyny futbolowej. Niektórzy musieli widzieć mnie wczoraj przy ringu, ale żaden o tym nie wspomniał.

— Shep.

Shepley skinął głową. Na drugim końcu stołu zasiadł Travis w towarzystwie dwóch ponętnych blondynek, ubranych w koszulki stowarzyszenia Sigma Kappa. Jedna usiadła mu na kolanach, druga głaskała rękaw jego koszuli.

— Zaraz się porzygam — mruknęła America.

Blondynka siedząca Travisowi na kolanach odwróciła się do niej.

— Słyszałam, zdziro.

America złapała bułkę i rzuciła nią przez stół. Mało brakowało, a trafiłaby dziewczynę w twarz. Zanim tamta zdążyła coś powiedzieć, Travis rozchylił kolana i blondynka upadła na podłogę.

— Au! — zapiszczała, patrząc na niego z wyrzutem.

— America jest moją przyjaciółką. Znajdź sobie inne kolana, Lex.

— Travis! — jęknęła, zrywając się na równe nogi.

Skupił wzrok na talerzu, wyraźnie ją ignorując. Naburmuszona dziewczyna spojrzała na koleżankę z Sigma Kappa, po czym obie odeszły, trzymając się za ręce.

Travis mrugnął do Mare i jakby nigdy nic włożył do ust kolejny kęs. Dopiero wtedy spostrzegłam niewielkie rozcięcie na jego łuku brwiowym. Wymienili spojrzenia z Shepleyem i zaczęli gawędzić z chłopakiem z drużyny futbolowej.

Gdy stołówka nieco opustoszała, America, Shepley i ja postanowiliśmy omówić plany na najbliższy weekend. Travis wstał i już miał odejść, ale przystanął obok nas.

— Co? — spytał głośno Shepley, przykładając dłoń do ucha.

Dotąd starałam się nie zwracać na Trávisa uwagi, lecz kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam, że on bacznie mi się przygląda.

— Poznałeś ją, Trav. To najlepsza przyjaciółka Mare. Była z nami wczoraj wieczorem — powiedział Shepley.

Travis obdarzył mnie zniewalającym uśmiechem. Z nastrozonymi ciemnymi włosami i tatuażami na przedramionach emanował seksem i buntowniczością. Wydęłam usta. Najwyraźniej próbował mnie sobą zauroczyć.

— Od kiedy masz najlepszą przyjaciółkę, Mare? — spytał.

— Od szkoły średniej. — America uśmiechnęła się do mnie. — Nie pamiętasz, Travis? Zniszczyłeś jej sweter.

— Zniszczyłem wiele swetrów.

— Jezu — mruknęłam.

Odsunął puste krzesło obok mnie, usiadł i oparł ręce na stole.

— A więc to ty jesteś Gołąbkim?

— Nie — odburknęłam. — Mam imię.

Spojrzał na mnie rozbawiony, co rozzłościło mnie jeszcze bardziej.

— No więc? Jak ci na imię? — spytał.

Postanowiłam zignorować pytanie i wzięłam do ust ostatni kawałek jabłka ze swojego talerza.

— Czyli jednak Gołąbek. — Wzruszył ramionami.

Zerknęłam na Mare, po czym zwróciłam się do niego:

— Chciałabym zjeść w spokoju.

— Jestem Travis. Travis Maddox.

— Wiem — odparłam, przewracając oczami.
— Wiesz? — Uniósł skaleczoną brew.
— Nie pochlebiaj sobie. Trudno nie zapamiętać. Pięćdziesięciu pijaków skandowało wczoraj twoje imię.

Wyprostował się na krześle.

— Faktycznie, to się często zdarza.

Znów przewróciłam oczami i się roześmiałam.

— Masz tik?

— Co takiego?

— Tik. Dziwnie poruszasz oczami. — Znów się roześmiałam, kiedy spiorunowałam go wzrokiem. — Swoją drogą, to niezwyczajne oczy. — Nachylił się do mnie. — Właściwie jaki mają kolor? Szary?

Zagapiłam się w talerz w nadziei, że rozdzieli nas zasłona opadających mi na twarz długich kosmyków w odcieniu karmelu. Czułam się nieswojo, kiedy był tak blisko, i wcale mi się to nie podobało. Nie miałam ochoty być jak setki innych dziewczyn, które w jego obecności oblewały się rumieńcem. Nie chciałam, żeby tak na mnie działał.

— Nawet o tym nie myśl, Travis. Abby jest dla mnie jak siostra — przestrzegła go America.

— Kochanie — zwrócił się do mnie Shepley. — Właśnie powiedziałas mu „nie”. Teraz nie odpuści.

— Nie jesteś w jej typie — rzuciła Mare.

— Jak możesz! — zawołał Travis, udając obrażonego.

Zerknęłam na niego i uśmiechnęłam się.

— Ach! Uśmiech. Jednak nie jestem podłym skurwiellem. — Puścił do mnie oko. — Miło mi było cię poznać, Gołąbku. — Obszedł stół dookoła i nachylił się do ucha Mare.

Shepley rzucił w niego frytką.

— Trzymaj się z dala od mojej dziewczyny, Trav!

— Próbuję tylko nawiązać kontakty. — Travis podniósł ręce, udając niewiniątko.

Ruszył do wyjścia, a za nim grupka dziewcząt. Chichotały i przeczesywały dłońmi włosy, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Kiedy przytrzymał im drzwi, zapiszczały z zachwytu.

America się roześmiała.

— No tak. Masz kłopot, Abby.

— Co ci powiedział? — spytałam pełna złych przeczuc.

— Chce, żebyś ją do nas przyprowadziła, tak? — domyślił się Shepley. Gdy America przytaknęła, pokręcił głową. — Abby, bystra z ciebie dziewczyna. Posłuchaj, jeśli dasz się nabrać na te jego sztuczki, a potem będziesz się na niego wściekać, nie wyżywasz się na nas, dobrze?

Uśmiechnęłam się.

— Nie dam się nabrać, Shep. Czy wyglądam jak bliźniaczka Barbie?

— Nie da się nabrać — potwierdziła America, muskając jego ramię.

— Dla mnie to nie pierwsza taka jazda, Mare. Wiesz, ile razy wszystko schrzanił, zaciągając do łóżka najlepszą przyjaciółkę mojej dziewczyny? Potem ze mną zrywały, bo dalsze spotkanie się oznaczało bratanie się z wrogiem. Abby — spojrzał na mnie — proszę, nie mów Mare, że nie wolno jej więcej się ze mną widywać tylko dlatego, że dałaś sobie wcisnąć kit. Pamiętaj, że cię ostrzegałem.

— Niepotrzebnie, ale dziękuję — powiedziałam. Chciałam

jakoś go uspokoić, chociaż jego pesymizm wydawał się uzasadniony wieloletnim doświadczeniem.

America pomachała mi na pożegnanie. Razem z Shepleyem wyszli ze stołówki, tymczasem ja udałam się na południowe zajęcia. Zmrużyłam oczy w jaskrawym świetle słońca, ściągając paski plecaka. Uniwersytet Eastern okazał się dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam — niewielkie sale, nieznajome twarze. Dla mnie oznaczało to nowy początek. Wreszcie mogłam przechadzać się swobodnie wśród ludzi, którzy nie szeptali o mojej przeszłości, bo nic o niej nie wiedzieli. Byłam równie anonimowa, jak pozostali studenci pierwszego roku: z wybałuszonymi oczami, osiągający wyniki lepsze od oczekiwanych. Nikt się na mnie nie gapił, nie plotkował, nie współczuł, nie osądzał. Świat, zgodnie z moim życzeniem, widział we mnie ubraną w kaszmirowe sweterki, rzeczową Abby Abernathy.

Położyłam plecak na podłodze i opadłam na krzesło, jednocześnie schylając się po laptop. Kiedy się wyprostowałam, zobaczyłam, że w sąsiedniej ławce zajął miejsce Travis.

— Super. Możesz przepisać ode mnie notatki — powiedział. W ustach trzymał długopis i uśmiechał się do mnie czarująco.

Spojrzałam na niego z niesmakiem.

— Nie jesteś w mojej grupie.

— Owszem. Zwykle siedzę tam. — Wskazał ostatni rząd. Kilka dziewczyn przyglądało mi się ciekawie; pośród nich zauważyłam puste krzesło.

— Nie będę robić dla ciebie notatek — powiedziałam, włączając komputer.

Nachylił się do mnie tak blisko, że na policzku poczułam jego oddech.

— Przepraszam... Obraziłem cię? Nie chciałem.

Westchnęłam, kręcąc głową.

— To o co chodzi?

— Nie pójdę z tobą do łóżka — odparłam cicho. — Powinieneś dać sobie spokój.

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie składałem ci takiej propozycji. — Zamyślił się i spojrzał w sufit. — Prawda?

— Nie jestem Barbie, nie jestem jedną z twoich fanek. — Ruchem głowy wskazałam dziewczyny w tylnym rzędzie. — Nie robią na mnie wrażenia twoje tatuaże, chłopcę urok, wymuszona obojętność. Daruj sobie te groteskowe zagrania.

— Jak sobie życzysz, Gołąbku. — Wydawał się niezrażony moją gburowatością, co ogromnie mnie irytowało. — Może wpadniesz do nas z Mare dziś wieczorem?

Prychnęłam pogardliwie, a on znów się do mnie nachylił.

— Nie próbuję cię wyrwać. Chcę tylko miło spędzić czas.

— Wyrwać? Dziewczyny w ogóle lecą na takie słownictwo?

Wybuchnął śmiechem, kręcąc głową.

— Po prostu przyjdź. Nie będę nawet z tobą flirtować, przysięgam.

— Zastanowię się.

Do sali wolnym krokiem wkroczył profesor Chaney i Travis skupił na nim uwagę. Na jego twarzy błąkał się uśmiech, który podkreślał dołeczki w policzkach. Bardzo chciałam go nie cierpieć, ale właśnie przez ten uśmiech nie potrafiłam.

— Kto z was wie, który prezydent miał zezowatą i wyjątkowo szpetną żonę?

— Koniecznie to zapisz — wyszeptał Travis. — Przyda się podczas rozmów kwalifikacyjnych.

— Ciii...

Wystukiwałam na klawiaturze wszystko, co mówił Chaney.

Travis wyszczerzył zęby w uśmiechu i rozparł się na krześle. W ciągu następnej godziny na przemian ziewał i nachylał się do mnie, patrząc w monitor. Starałam się ze wszystkich sił nie zwracać na niego uwagi, ale było to trudne. Do końca wykładu bawił się czarną skórzaną opaską na nadgarstku, napinając mięśnie rąk.

Wyszłam pośpiesznie z sali i ruszyłam przed siebie korytarzem. Już myślałam, że oddaliłam się na bezpieczną odległość, kiedy Travis Maddox mnie dogonił.

— Zastanowiłaś się? — spytał, wkładając okulary przeciwsłoneczne.

Obok nas przystanęła drobna brunetka z wielkimi oczami i pełnym nadziei spojrzeniem.

— Hej, Travis — zaszczębiotała, odrzucając w tył włosy.

Wzdrygnęłam się na dźwięk jej przesłodzonego tonu. Wyminęłam ją i poszłam dalej. W akademiku mówiła normalnie, jej głos brzmiał dojrzałe, więc zastanawiałam się, czemu sądzi, że szczębiocząc jak dziecko, wyda się Travisowi bardziej pociągająca. Gaworzyła jeszcze przez chwilę, ale jemu udało się mnie dopędzić.

Wyjął z kieszeni zapalniczkę, zapalił papierosa i wydmuchał gęstą chmurę dymu.

— O czym to mówiłem? Ach tak... Miałaś się zastanowić.

Skrzywiłam się.

— Nad czym?

— Czy przyjdiesz.

— Jeśli powiem „tak”, przestaniesz za mną łązić?

Chwilę rozważał mój warunek, w końcu pokiwał głową.

— Zgoda.

— Wobec tego przyjdę.

— Kiedy?

Westchnęłam.

— Wieczorem. Przyjdę dziś wieczorem.

Zatrzymał się w miejscu z promiennym uśmiechem.

— Kochana jesteś. Do zobaczenia, Gołąbku! — zawołał za mną.

Za rogiem natknęłam się na Mare, która rozmawiała z Finchem przed naszym akademikiem. Na kursie wprowadzającym dla studentów pierwszego roku siedzieliśmy we troje przy tym samym stole i wiedziałam, że Finch przyda się jako trzecie koło w naszej dobrze naoliwionej maszynie. Nie był zbyt wysoki, ale przy moich stu sześćdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu mimo wszystko nade mną górował. Okrągłe oczy stanowiły przeciwagę dla pociągłej, szczupłej twarzy. Utlenione włosy miał nastroszone.

— Travis Maddox? Jezu, Abby, odkąd to zapuszczasz się na tak szerokie wody? — Spojrzał na mnie z dezaprobatą.

America wyjęła z ust kawałek gumy do żucia.

— Odrzucając go, tylko pogarszasz sprawę. Nie przywykłam do takiego traktowania.

— Co, twoim zdaniem, powinnam zrobić? Przespać się z nim?

Wzruszyła ramionami.

— Zaoszczędzisz czas.

— Powiedziałam mu, że przyjdę dziś wieczorem.

America i Finch spojrzeli po sobie.

— No co? Obiecał, że jeśli się zgodzę, przestanie mnie nagabywać. Ty też tam będziesz, prawda? — zwróciłam się do przyjaciółki.

— Owszem. Naprawdę przyjdiesz?

Wyminęłam ich oboje z uśmiechem i weszłam do akademika. Zastanawiałam się, czy Travis dotrzyma obietnicy i nie będzie próbował ze mną flirtować. Nie było trudno go rozgryźć — albo potraktował mnie jak wyzwanie, albo widział we mnie dziewczynę na tyle nieatrakcyjną, że spokojnie mogła zostać po prostu dobrą koleżanką. Nie byłam pewna, co bym wolała.



Cztery godziny później America zapukała do moich drzwi, żeby zabrać mnie do Shepleya i Trvisa. Na mój widok nie potrafiła ukryć obrzydzenia.

— Matko święta, Abby! Wyglądasz jak kloszard!

— O to chodziło — odparłam zadowolona z efektu.

Włosy upięłam na czubku głowy w niechlujny kok. Starłam z twarzy makijaż, a zamiast szkieł kontaktowych włożyłam okulary w czarnej prostokątnej oprawce. Ubrałam się w złachany podkoszulek, spodnie od dresu i japonki. Parę godzin wcześniej doszłam do wniosku, że jednak lepiej będzie, jeśli Travis zobaczy we mnie dziewczynę nieatrakcyjną. Wówczas z miejsca zaniecha swoich śmiesznych podchodów. Z kimś tak brzydkim jak ja nie będzie chciał się pokazywać.

America opuściła szybę w samochodzie i wypluła gumę.

— Jesteś taka oczywista. Szkoda, że nie wytarzałaś się w psim gównie dla lepszego efektu.

— Nie zależy mi na efekcie — powiedziałam.

— Jasne.

Zaparkowałyśmy przed blokiem i weszłyśmy po schodach na piętro. Shepley, który nam otworzył, roześmiał się na mój widok.

— Co ci się stało?

— Postanowiła wyglądać nijako — burknęła America.

Zamknęli się w jego pokoju, a ja zostałam sama. Skrepowana, usiadłam na fotelu blisko drzwi i zrzuciłam klapki.

Mieszkanie prezentowało się znacznie lepiej niż typowa garsoniera. Wprawdzie na ścianach wisiały plakaty półnagich kobiet i kradzione znaki drogowe, ale było czysto, a meble wyglądały na nowe. No i nie wyczułam smrodu zwietrzałego piwa i brudnej bielizny.

— Nie śpieszyło się wam. — Travis padł na kanapę.

Uśmiechnęłam się i poprawiłam na nosie okulary. Oczekiwałam, że wzdrygnie się na mój widok.

— America musiała dokończyć referat.

— À propos, napisałaś już pracę z historii?

Moje niechlujne uczesanie nie wzbudziło w nim żadnej reakcji. Nawet okiem nie mrugnął. Zaskoczona, uniosłam brwi.

— A ty?

— Skończyłem dziś po południu.

— To dopiero na przyszłą środę — zdziwiłam się.

— Machnąłem raz-dwa. W końcu ile można ślęczyć nad dwustronicową pracą o Grancie?